

Pamiętam ów ruchliwie rozbłyskany szron
I śniegu ociążałe w gałęziach **nawiesie**,
I jego nieustanny z drzew na ziemię **zron**,
I uczucie, że w słońcu razem z śniegiem skrzę się.

A on ciągle narastał tu w kopiec, tam — w stos,
I drzewom białych czupryn coraz to dokładał,
Ślepił oczy i łechtał podbródek i nos,
I fruwał — i tkwił w próżni — i bujał i padał.

I pamiętam ów niski, wpół zapadły dom
I za szybami włóczek różnobarwne wzory.
Kto tam mieszkał? Pytanie — czy człowiek, czy gnom?
Byłem dzieckiem. Śnieg bielą zasnuwał przestwory.

Dotknąłem dłonią szyby, mimo strachu mąk,
I uczułem ślad hojny, niby czarów zbytek.
Tą dłonią dotykałem mych sprzętów i ksiąg
I niańki, by ją oddać na baśni użytek...

Serce marło, gdym w dłoni unosił ten ślad
W ciszę śniegu, co, prósząc, weselił się w niebie.
Śnieg ustał — i minęło odtąd tyle lat,
Ile trzeba, by ślady zatracić do siebie.

Jakże pragnąłbym dzisiaj, gdy swe bóle znam,
Stać, jak wówczas, przed domu wpół zapadłą bramą
I widzieć, jak śnieg ziemię obielea ten sam,
Śnieg, co fruwa i buja i pada tak samo.

Z jakimż płaczem-bym zajrzał — niepoprawny **śniarz** —
Do szyby, by swą młodość odgrzebać w jej szronie, —
Z jakąż mocą-bym tulił uznojoną twarz
W te dawne, com je stracił, w te dziecięce dłonie!